

WŁADYSŁAW STANISŁAW REYMONT

# KOMEDIANTKA

## Rozdział I

Bukowiec, stacja kolei dąbrowskiej, leży w przepysznym miejscu!... Wycięto krętą linię pomiędzy wzgórzami, okrytymi bukiem i sosną, i w punkcie najrówniejszym, pomiędzy olbrzymią górą, sterczącą nad lasami nagimi łysinami skał zwietrzałych, a długą i wąską dolinką, pełną wód i błot zarosłych – postawiono stację. Dworzec z cegły nietynkowanej, jednopiętrowy, z mieszkaniami zawiadowcy i jego pomocnika na piętrze, drewniany domek z boku dla telegrafisty i niższej służby, drugi taki sam tuż przy ostatnich wekslach dla dozorczy drogowego, trzy budki strażnicze w różnych punktach terenu stacyjnego, rampa odkryta do ładowania towarów – stanowiły wszystko.

Las był za dworcem i las szumiał przed dworcem. Kawał niebieskawej opony powietrza, zarzuconej szarawymi chmurami, roztaczał się w górze niby dach rozciągnięty szeroko.

Słońce podnosiło się ku południowi, świeciło coraz bielej i coraz lepiej dogrzewało; rude zbocza kamienistej góry, o poszarpanym, jakby porytym gwałtownie przez wiosenne potoki szczycie, opłynięte były światłem słońca.

Była cisza wiosennego południa. Drzewa stały bez ruchu i bez szmeru. Zielone, ostre liście buków zwieszały się jakby senne i upojone światłem, ciepłem i ciszą.

Ptaki odzywały się z rzadka w gęstwinie leśnej, tylko krzyk wodnego ptactwa z błot i ciche brzęczenia komarów dzwoniły w powietrzu.

Nad długą, mocno błękitną linią szyn, ciągnących się nieskończonym łańcuchem w skrętach i zygzakach, mieniło się fioletem rozpalone powietrze.

Z kancelarii zawiadowcy stacji wyszedł niski, kwadratowy, o jasnej, prawie konopnej czuprynie człowiek. Był ubrany, a raczej wciśnięty, w surdut elegancki, kapelusz trzymał w ręku i kładł palto, które mu podawał robotnik.

Zawiadowca stał przed nim, gładził długą, siwą brodę ruchem automatycznym i uśmiechał się przyjaźnie. Był tak samo krępy, silnie zbudowany i rozrosły w ramionach i tak samo z oczu błękitnych, błyskających wesoło pod

rozrośniętymi brwiami i czołem kwadratowym, wyzierała mu stanowczość i silna, nieugięta natura. Nos prosty, usta bardzo pełne i pewien sposób ściągania brwi, i spoglądanie proste, uderzanie oczyma niby sztyletem, znaminowały gwałtowny charakter.

– Do widzenia, do jutra!... – powiedział blondyn wesoło, wysuwając dużą rękę do pożegnania.

– Do widzenia! No, daj pyska... Jutro zapijemy mohorycz!

– Boję ja się trochę tego jutra...

– Śmiało, chłopcze! Nie bój się. Ja ręczę słowem za dobry skutek. Powiem zaraz Jani o wszystkim... Przyjedziesz jutro do nas na obiad, oświadczysz się, zostaniesz przyjęty, za miesiąc ślub... i będziemy sąsiadami... he! Kocham cię, panie Andrzeju! Zawsze marzyłem, żeby mieć takiego syna: nie mam! trudno... to choć zięcia mieć będę!...

Ucałowali się serdecznie; młody wsiadł w lekką, górską bryczkę, czekającą na podjeździe, i ruszył ostro waziutką drożynką przez las. Obejrzał się, ukłonił jeszcze kapeluszem, przesłał potem drugi ukłon głębszy do okien pierwszego piętra i zniknął w cieniu lasu. Potem zeskoczył z bryczki, kazał furmanowi jechać, a sam poszedł na przełaj.

Zawiaadowca, skoro tylko mu tamten zniknął z oczu, powrócił do kancelarii i zajął się załatwianiem urzędowych korespondencji.

Był bardzo zadowolony z prośby Grzesikiewicza o rękę córki; przyrzekł ją będąc najpewniejszym, że ona się zgodzi.

Grzesikiewicz, choć nie porywał pięknnością, ale był bardzo rozumny i bardzo bogaty. Lasy, w których stała stacja, i kilka sąsiednich folwarków były własnością jego ojca.

Stary Grzesikiewicz był to chłop przede wszystkim, który z karczmarza przedzierzgnął się na handlarza i na porębach leśnych i handlu opasami dorobił się krociowego majątku.

Jeszcze dużo ludzi w okolicy pamiętało, że stary nazywał się za młodu Grzesik. Pokpiwano sobie nieraz z tego, ale nikt mu za złe nie brał zmiany

nazwiska, bo się nie sadził na pańskość i nie świecił nikomu brutalnie swoją fortuną.

Był chłopem i pomimo wszystkich zmian pozostał chłopem na wskroś. Syn odebrał staranne wykształcenie i teraz pomagał ojcu. Przed dwoma laty poznał córkę zawiadowcy po jej powrocie z gimnazjum kieleckiego i zakochał się w niej gwałtownie. Stary mu nie przeszkadzał, tylko powiedział prosto, że jeśli chce, to niech się żeni.

Z panną widywał się często, zakochiwał się w niej coraz głębiej, ale nigdy nie śmiał mówić o miłości. Była dla niego bardzo uprzejma, bardzo mu rada, ale przy tym taka dziwnie prosta i otwarta, że jemu zawsze słowa uczucia i wyznania zatrzymywały się na ustach.

Czuł w niej jakąś wyższą rasę kobiet, niedostępną dla takich "chamów", jak się nieraz sam nazywał otwarcie, ale właśnie przez to chamstwo swoje kochał ją tym więcej jeszcze.

Wreszcie zdecydował się powiedzieć o tym jej ojcu.

Orłowski go przyjął z otwartymi rękoma i z góry, z całą swoją bezwzględnością zapewnił słowem, że wszystko będzie dobrze. Myślał teraz, że przecież i Janka mu nie odmówi, że musiała już o tym mówić z ojcem.

– Dlaczegoż by nie! – szeptał.

Był młodym, bogatym, no – i kochał ją bardzo.

– Za miesiąc ślub!... – dodawał szybko i czuł się tak uradowanym, że leciał przez las szybko, obłamywał gałęzie drzew, kopał stare, spróchniałe pnie, strącał główki grzybom wiosennym i pogwizdywał uśmiechając się z zadowolenia matki, skoro jej tylko powie o tym, bo matka jego gorąco pragnęła tego małżeństwa.

Była to stara chłopka, która prócz stroju nic nie zmieniła pod wpływem pieniędzy ze swoich obyczajów i myśli. O Jance myślała jak o królowej. Było to jej marzeniem mieć za synową panią prawdziwą, szlachciankę, która by jej imponowała pięknnością i wyższym urodzeniem, bo mąż i jego pieniądze, i

szacunek, jakim ją otaczano w okolicy, nie wystarczały jej. Czuła się zawsze chłopką i wszystko przyjmowała z niedowierzaniem prawdziwie chłopskim.

– Jędrus! – mówiła nieraz synowi – Jędrus, ożeń się z panną Orłowską. To pani! Jak spojrzy na człowieka, to jaże mrówki łażą ze strachu po skórze i chciałoby się jej do nóg pokłonić i prosić o co... Dobra być musi, bo ile razy spotka się z ludźmi w lesie, to pochwali Boga, porozmawia, dzieci pogłaska... Jędruska by tego nie umiała! Zawdy co ród, to ród. Posłałam jej grzybów koszyczek, to jak me spotkała potem, to pocałowała me w rękę... Mądra ci ona jest, ho! ho! wi, że ja mam synka kiej malowanie. Jędrus, żeń się! Śpiesz się, flisie, póki jest na misie! – dodawała przysłowiem.

Jędrus się zwykle śmiał, całował matkę po rękach i obiecywał prędko skończyć.

– Królownę będziemy mieć, posadzimy ją se w świetlicy! Nie bój się, Jędrus, nie dam ja jej rączków umorusać w niczym; będę chodzić kole niej, usługiwać, podtykać wszystko... niech se czyta po francusku ino albo gra na fortypianie. Na to ona i pania! – ciągnęła dalej matka rozmarzając się przyszłym swoim szczęściem.

– Stara kobieta jestem. Jędrus, wnuczków mi potrza!... – mawiała często synowi smętnie. I on był takim samym chłopem w głębi; pod pokostem cywilizowanego człowieka, gładkiego i wykształconego, drżała niepohamowana energia i pragnienie żony – pani. Ten siłacz, co w chwilach uniesienia sam rzucał na wóz sześciopudowe wory zboża i musiał nieraz robić jak wyrobnik, żeby się zmęczyć i przyciszyć w sobie szalone pragnienie użycia i jakieś burze, podnoszące się w krwi zdrowej i przez dziesiątki pokoleń nie zużytej – marzył o Jance, przepadał za jej wdziękiem, za słodyczą. Chciał koniecznie pana, który by go tyranizował swoją słabością.

Leciał teraz przez las jak wicher, a potem prosto przez pola zieleniejące się młodą runią zbóż jarych – biegł do matki powiedzieć jej o swoim szczęściu. Wiedział, że ją zastanie w ulubionej izbie, zawieszanej w trzy rzędy obrazami świętych w złożonych ramach; bo to był jedyny jej zbytek, na jaki sobie pozwalała.

Zawiadowca tymczasem skończył pisać raport jakiś, podpisał go, przeciągnął przez dziennik, wsadził w kopertę, zaadresował "do Ekspedytora stacji Bukowiec" i zawołał:

– Antoni!

Posługacz pokazał się w progu.

– Do ekspedytora! – zawołał Orłowski.

Posługacz wziął w milczeniu kopertę i z najpoważniejszą miną w świecie położył ją na stoliku stojącym z drugiej strony okna.

Zawiadowca wstał, przeciągnął się, czerwoną czapkę zdjął z głowy i przeszedł do tego stolika; włożył zwyczajną czapkę z czerwonymi wypustkami i z powagą odpieczętował ekspedycję pisaną przed chwilą. Przeczytał i na drugiej stronie nakreślił kilka wierszy odpowiedzi podpisując się znowu; zaadresował "do Zawiadowcy stacji w miejscu" – i kazał Antoniemu odnieść.

Był to maniak, którego kosztem bawiła się cała droga żelazna. W Bukowcu nie było ekspedytora, więc on spełniał obie czynności, ale przy stoliku zawiadowcy sprawy jedne, a przy stoliku ekspedytora – drugie.

Jako zawiadowca był swoim własnym zwierzchnikiem, więc miał nieraz chwile rzetelnej, iście wariackiej rozkoszy, kiedy zauważywszy jaką omyłkę w rachunkach, jakieś opuszczenie swoje w służbie ekspedytora, pisał raport sam na siebie i monitował się.

Śmiali się wszyscy z niego; nie zważał na to i robił swoje mawiając na usprawiedliwienie:

– Na porządku i systematyczności opiera się wszystko; braknie tego, wszystko przepada!... Skończył teraz robotę, pozamykał szuflady, wyjrzał na peron – i poszedł do mieszkania. Nie wszedł przez przedpokój, tylko przez kuchnię. Musiał wszystko wiedzieć, co się robi i jak. Zajrzał do komina, szturchnął w ogień pogrzebaczem, wykrzyczał służącą za rozlaną wodę na podłodze i poszedł do jadalnego pokoju.

– Gdzie Janka?

– Panna Janina zaraz przyjdzie – odpowiedziała Kręska, rodzaj gospodyni i damy do towarzystwa, ładna blondynka o bardzo ruchliwej twarzy.

– Cóż robicie na obiad? – zapytał tym samym inkwizytorskim tonem.

– To, co pan naczelnik tak lubi: potrawka z kurcząt z sosem, zupka szczawiowa, kotleciki...

– Zbytki!... przysięgam Bogu, zbytki!... Zupa i jedno mięso dosyć chyba dla samego nawet króla! Zrujnujcie mnie, przysięgam Bogu!...

– Ależ, panie naczelniku... umyślnie tylko dla pana dobrodzieja taki obiad kazałam robić.

– Błaga! przysięgam Bogu, błaga!... Warn, kobietom, tylko w głowach frykasiki, słodyczki, delikatesiki i nic więcej. Wszystko to tylko fiu! fiu!

– Niesłusznie pan naczelnik nas sądzi; oszczędzamy zwykle więcej niż mężczyźni.

– Aha! oszczędzacie, żeby sobie później kupić więcej łachów. Znam to, przysięgam Bogu! Kręska nie odpowiedziała, tylko zaczęła nakrywać do obiadu.

Weszła Janka.

Była to dziewczyna dwudziestodwuletnia, wysoka, doskonale zarysowana, o szerokich ramionach, spojrzeniu dumnym i imponującym. Rysy miała niezbyt regularne; oczy czarne, czoło proste, trochę za szerokie, brwi ciemne, silnie zaznaczone, nos rzymski, usta pełne i czerwone. Oczy miały wyraz głęboki, jakiegoś wewnętrznego zapatrzania się w siebie; usta zacinała mocno, co jej nadawało pozór powagi lub złości ukrytej. Dwie zmarszczki głębokie chmurzyły jej jasne czoło. Blond włosy o rudawym odcieniu, przepyszne jako ton, napuszone, osłaniały niby koroną jej głowę okrągłą i małą. Płeć miała złotawą niby brzoskwinia, głos dziwny; był to alt, brzmiały chwilami barytonem, o męskich akcentach.

Skinęła ojcu głową i usiadła z drugiej strony stołu.

– Był Grzesikiewicz dzisiaj u mnie – odezwał się zawiadowca, wolno rozlewając wszystkim zupę, bo on sam zawsze dzielił i rozlewał przy stole.

Janka spokojnie spojrzała na niego, czekając, co dalej powie.

– Był i prosił mnie o ręką twoją, Janiu.

– Cóż mu pan naczelnik powiedział? – zawołała prędko Kręska.

– Jest to nasza sprawa – odpowiedział surowo. – Nasza sprawa... Odpowiedziałem, że dobrze; będzie tutaj jutro na obiedzie, no i rozmówicie się...

– Niepotrzebnie! Kiedy mu ojciec powiedział, że dobrze, to niechaj go sobie ojciec jutro przyjmuje i powie ode mnie, że właśnie jest niedobrze... Nie chcę z nim mówić. Pojadę jutro do Kielc – odpowiedziała porywczo Janina.

– Włazł na gruszkę, rwał pietruszkę, cebula się rodzi!... przysięgam Bogu!  
– odpowiedział pogardliwie. – Gdybyś nie była fiksatką, to byś zrozumiała, co to za człowiek i co to za partia!... że Grzesikiewicz, choć cham, więcej wart dla ciebie od książąt, bo cię chce... a chce cię, bo jest głupi; nie taką mógłby dostać! Powinnaś mu być tylko wdzięczną. Oświadczy ci się jutro i za miesiąc będziesz Grzesikiewiczową.

– Nie będę Grzesikiewiczową! Kiedy może sobie wziąć inną, niech sobie bierze...

– Przysięgam Bogu, będziesz Grzesikiewiczową!

– Nie! Nie tylko za niego, za nikogo nie pójdę! Nie pójdę wcale za męża, nie chcę!...

– Głupiasz! – przerwał jej brutalnie. – Pójdiesz, bo potrzebujesz jeść, mieszkać, ubierać się jakoś, być czymś... Ja nie myślę się do reszty zrujnować... a jak mnie zabraknie, to co?

– Mam swój posag; dam sobie radę i bez Grzesikiewiczów. Aha, więc ojciec chce mi przez to zamażpójście zabezpieczyć utrzymanie tylko!... – szydziła spoglądając na niego wyzywająco.

– Tak, przysięgam Bogu!... a dla czegoż innego kobiety wychodzą za męża?...

– Wychodzą z miłości i wychodzą za tych, których kochają.



– Głupiaś, mówię ci! – krzyknął energicznie, nabierając sobie potrawki. – Miłość to tylko ten sos, kurczę się zjada i bez niego; sos to wymysł, głupstwo, nowy przesąd!

– Nikt się nie sprzedaje pierwszemu lepszemu dlatego tylko, że ten ma na utrzymanie!

– Głupiaś, przysięgam Bogu! Wszystkie tak robią, wszystkie się sprzedają. Miłość to jest pensjonarskie gadanie, głupstwo, przysięgam Bogu! Nie irytuj mnie...

– Tu chodzi nie o irytację albo o to, czy miłość jest głupstwem lub nie jest; idzie tu o moją przyszłość, którą ojciec dowolnie się rozporządza. Powiedziałam już ojcu wtedy, kiedy Zielenkiewicz mi się oświadczył, że nie myślę wcale iść za męża.

– Zielenkiewicz to tylko Zielenkiewicz, a Grzesikiewicz to pan całą furą; chłop do rany choćby przyłoży!... serce złote, rozum ma, bo przecież skończył Dublany, mocny jak byk, przysięgam Bogu; taki chłop, co najdzikszego konia utrzyma, co jak parobka onegdaj lunał w twarz, to mu sześć zębów wybił od razu – jest ci niedobry! Przysięgam Bogu, ideał, najidealniejszy ideał!

– Wspaniały jest ten ojca ideał; okalecza ludzi i mógłby pokazywać się w cyrku!

– Ty masz fiksację jak i twoja matka. Zaczekaj! weźmie cię Jędrak na podwójny mundsztuk i da ci radę... Nie będzie żałował bata.

Janka gwałtownie odsunęła krzesło, rzuciła łyżkę na stół i wyszła zatrzasnąwszy drzwi za sobą.

– Nie gawroń się pani, tylko każ dawać kotlety! – krzyknął na Kręską, która z bolejącą miną patrzyła za Janką; podsunęła półmisek uniżenie i z troską w głosie szepnęła:

– Pan naczelnik rozchoruje się kiedy z tej irytacji.

– Trucizna moja!... – szepnął przeciągle. – Zjeść nie można spokojnie, tylko wieczne hałasy!... Zaczął rozwodzić żale i skargi na upór Janki, na jej charakter i na swoje wieczne z nią kłopoty. Kręska przytakiwała mu podkreśla-

jąc czasami niektóre szczegóły; dyskretnie żaliła się, że i ona musi znosić wiele, bardzo wiele z jej przyczyny; wzdychała ciężko, pochlebiała mu przy każdej sposobności. Przyniosła kawę, postawiła arak, nalewała mu sama, przystawiała, dotykała się niby przypadkowo jego rąk lub ramienia; spuszczała oczy, kokietowała go ciągle i wytrwale starała się wykrzesać z niego iskrę jakąś... Miała swoje cele, dla których to robiła.

Orłowski kłął coraz ciszej, a wypiwszy kawę rzekł:

– Bóg zapłać!... Przysięgam Bogu, pani jedna mnie rozumiesz... dobra z pani kobieta...

– Panie naczelniku, gdybym tylko mogła okazać, co czuję, co... – jąkała się spuszczać oczy.

Orłowski uściskał jej rękę i wyszedł do swojego pokoju na drzemkę. Kręska rozkazała sprzątać ze stołu – i później, kiedy została sama, wzięła jakąś robótkę i usiadła przy oknie wychodzącym na peron; spoglądała czasami na lasy, na linię, ale pusto i cicho było wszędzie. Wstała, bo nie mogła usiedzieć, i zaczęła chodzić naokoło stołu cichym kocim ruchem, kołowała uśmiechając się do myśli swojej:

– Będę go miała... będę!... Nareszcie człowiek odpocznie należycie!... Skończy się ze wszystkim!... – myślała i widziała się już naczelnikową.

Widziała się już panią... Zrzucała z ogromną ulgą tę maskę dobroduszości, pokory, uniżenia i oszczędności, którą musiała nosić wobec wszystkich. Obiecywała sobie powetować wszystko... co wycierpiała.

Był to jedyny cel, do którego wytrwale dążyła od lat dwóch.

To znowu przychodziły jej na pamięć obrazy przeszłości: całe lata włóczęgi z teatrem prowincjonalnym...

Rzuciła teatr, bo złapała młodego chłopaka, który się ożenił z nią. Żyła z nim całe dwa lata... dwa lata, które wspominała z goryczą. Mąż był zazdrosny do szaleństwa i bijał ją czasami, gdy nie dość mocno trzymała swój temperament na wodzy.